

## Prof. Ryszard M. Machnikowski: Katastrofa Obamy na Bliskim Wschodzie

Do roku 2012 sytuacja na Bliskim Wschodzie wyglądała na w miarę opanowaną. Jednak na drugą kadencję prezydenta Obamy przypada dramatyczne wręcz odwrócenie sytuacji w tym regionie, prowadzące do katastrofalnych skutków – pisze prof. Ryszard M. Machnikowski w „Teologia Polityczna Co Tydzień” Kres hegemonia? Świat po Obamie.

Gdy Barack Hussein Obama po raz pierwszy obejmował urząd prezydenta USA niespełna 8 lat temu, obszar „Więszzego Bliskiego Wschodu” (ang. Greater Middle East) pogrąony był w kolejnym kryzysie. Kryzys ten był w znacznej mierze efektem polityki poprzednich prezydentów Ameryki względem tego regionu, w szczególności jednak trudnym dziedzictwem tzw. „Globalnej Wojny z Terrorem” (ang. GWOT) ogłoszonej przez George’a W. Busha po zamachach z 11 września. Atak na WTC i Pentagon ze strony sunnickiej sieci zbrojnego dżihadu znanej jako Al Kaida pozwolił amerykańskim neokonserwatystom na prymat we współkształtowaniu amerykańskiej polityki zagranicznej i dał pretekst do inwazji na Irak, rządzony przez Saddama Hussajna – państwo w żaden istotny sposób niepowiązane ze sprawcami ataku z 11 września. Zamierzeniem neokonserwatywnej polityki miało być wzmocnienie amerykańskiej obecności w tym wciąż jeszcze wtedy kluczowym regionie, ze względu na zależność światowej i amerykańskiej gospodarki od bliskowschodnich zasobów energetycznych, oraz jego „stabilizacja”. Jednym z elementów tego planu było ustanowienie pierwszego w pełni „demokratycznego” państwa arabskiego, które mogłoby „promieniować” swym przykładem na bezpośrednie otoczenie. Sprawnie

funkcjonująca arabska demokracja, w założeniu harmonijnie łącząca interesy szyitów i sunnitów, mogłaby oddziaływać na „serca i umysły” ludności w tym regionie, nie tylko Arabii Saudyjskiej, ale też i sąsiedniego Iranu, wskazując, że konserwatywne religijne satrapie, czy to pod postacią fundamentalistycznego królestwa, czy też „republiki” islamskiej mają alternatywę w postaci demokratycznego systemu politycznego, przypominającego zachodni. Ponadto, USA zapewne chciały także wprowadzić na rynek bogate zasoby irackiej ropy naftowej, wstrzymywane wcześniej przez międzynarodowe sankcje za iracką agresję na Kuwejt w 1990 r., zmniejszając tym samym nieco rolę konserwatywnej Arabii Saudyjskiej, której aż piętnastu obywateli brało udział w zamachu na WTC i Pentagon.

Ten tok myślenia pomijał jednak dwa istotne czynniki – kulturowy, poważnie utrudniający, jeśli nie uniemożliwiający zbudowanie poprawnie działającego demokratycznego państwa w sercu Bliskiego Wschodu, jak i polityczny – fakt, że zarówno Arabia Saudyjska jak i Iran nie będą biernie przyglądać się realizacji zagrażającym im amerykańskich planów, tylko aktywnie im się przeciwstawią. I tak się wkrótce stało: Arabia Saudyjska (jak i inne szejkanaty z Zatoki Perskiej) wsparły sunnicką rebelię, która wkrótce wybuchła na ziemi irackiej, gdy Iran jednoznacznie wsparł bojówki szyickie. Wojna domowa, która wybuchła w Iraku, została także sprowokowana licznymi błędami Koalicyjnej Administracji Tymczasowej w Iraku (ang. CPAI) pod wodzą ówczesnego „wicekróla” Iraku, Paula „Jerry’ego” Bremera. Największym z nich było rozwiązanie armii irackiej – jej członkowie wkrótce zasilili liczne bojówki i milicje zbrojnie zwalczające Amerykanów. „Stabilizowanie” Iraku, zdestabilizowanego przez działania USA zajęło prezydentowi Bushowi czas do końca drugiej kadencji i ostatecznie było zasługą właściwej strategii zastosowanej w tym kraju przez jednego z najwybitniejszych dowódców wojskowych współczesności – gen. Davida Petraeusa.

Gdy prezydent Bush przekazywał swojemu następcy, Barackowi Obamie swój urząd, Irak był już względnie „stabilny”: kosztem blisko ćwierci miliona irackich ofiar działań zbrojnych oraz kilkunastu tysięcy zabitych i rannych amerykańskich żołnierzy udało się znacząco ograniczyć antyamerykańskie i antyrządowe działania insurekcyjne w Iraku, a wpływy tzw. Islamskiego Państwa w Iraku (ang. ISI), powstałego w 2006 r. sukcesora Al Kaidy w Iraku i sojusznika jej kierownictwa zlokalizowanego na pograniczu afgańsko – pakistańskim zdawały się niknąć. Jak wówczas szacował amerykański wywiad wojskowy, liczba aktywnych członków ISI nie przekraczała trzystu osób. Jednak inne działania amerykańskie, prowadzone w ramach GWOT na całym świecie, zamiast wygasić jedynie roznieciły i podsyciły płomień zbrojnego dżihadu, obejmującego pas ciągnący się od Algierii i Nigerii poprzez Europę Zachodnią, Bliski Wschód i Azję Środkową aż po Indonezję i Filipiny. Spuścizna po 8 latach rządów republikańskiej administracji na Bliskim Wschodzie nie była więc zachęcająca i trzeba otwarcie przyznać, że nowy prezydent USA nie miał także i tam łatwego zadania, mimo względnego uspokojenia sytuacji w samym Iraku.

Nowy amerykański prezydent zakładał, że skoro amerykańska polityka nie odniosła pożądanych sukcesów, to należy robić wszystko na odwrót, niż administracja Busha, by taki sukces przyszedł. Jedną z najważniejszych jego decyzji dotyczyła całkowitego zakończenia obecności amerykańskich wojsk w Iraku, mimo ostrzeżeń, że w ten sposób USA stracą zdolność natychmiastowego reagowania na możliwe zagrożenie w postaci odradzających się siatek dżihadystycznych w tym regionie. 18 grudnia 2011 roku ostatnie regularne oddziały amerykańskie zostały wycofane z Iraku, kończąc swoją ponad ośmioipółletnią obecność na ziemi irackiej. Koniec 2011 roku wydawał się rokiem triumfu polityki Baracka Obamy w wojnie z dżihadyzmem – na początku jego kadencji „ofensywny” termin GWOT został zastąpiony przez o wiele bardziej enigmatyczne określenie Overseas

Contingency Operations (OCOps), a w walce z terrorystami administracja Obamy postawiła na nowoczesne technologie. Za rządów prezydenta Busha dokonano 12 ataków przy pomocy dronów na cele zlokalizowane na pograniczu afgańsko - pakistańskim, w których zginęło ok. 120 osób, w tym 5 tzw. High Value Targets (HVT – cel wysokiej wartości, czyli ktoś z przywództwa organizacji dżihadystycznych zlokalizowanych w tamtym regionie). W czasie tylko pierwszej kadencji Baracka Obamy dokonano 319 takich potwierdzonych ataków, zabijając ponad trzy tysiące osób (sic!), w tym 80 HVTs. Przywództwo tzw. Al Kaidy Centralnej ukryło się głęboko niezdolne do skutecznego dowodzenia operacjami, a lider tej organizacji, Osama Bin Ladin, został zabity przez komandosów US Navy DEVGRU w kontrowersyjnej Operacji Neptune Spear, przeprowadzonej w nocy z 1 na 2 maja 2011 r. w pakistańskim mieście Abbottabad, gdzie się ukrywał. Wydawało się wtedy, że nawet jeśli nie udało się całkowicie zlikwidować zagrożenia ze strony Al Kaidy, to uległo ono bardzo poważnemu ograniczeniu.

W dodatku w latach 2011 – 2012 wybuchła tzw. „arabska wiosna”, która obaliła dyktatorską władzę kilku „tyranów” z obszaru Bliskiego Wschodu i Afryki Północnej (ang. MENA): w Tunezji prezydenta Zine El Abidine Ben Alego, w sąsiedniej Libii pułkownika Muammara Kadafięgo, w sąsiednim Egipcie Hosniego Mubaraka, a w Jemenie Ali Abdullaha Saleha. Dodatkowo w Syrii tradycyjnie antyamerykański reżim prezydenta Bashira Al Assada został poważnie osłabiony wojną domową, w jaką ostatecznie latem 2011 roku przekształciły się antyreżimowe zamieszki. W każdej z tych „rewolucji” dżihadyści odgrywali zupełnie nieistotną rolę, a ludność, która organizowała się dzięki użyciu popularnych zachodnich portali społecznościowych i komunikatorów, występowała pod hasłem wolnych wyborów i wolności słowa. Wydawało się, co byłoby niezwykle ironią losu, że neokonserwatywne marzenie o „demokratyzacji” Większego Bliskiego Wschodu znajdzie swe spełnienie za kadencji prezydenta – Demokracji. Tak jednak się nie stało, także – jeśli nie przede wszystkim – na skutek jego działań, a raczej ich zaniechania.

W Libii i w znacznie mniejszym stopniu w Syrii, USA odegrały aktywną rolę militarną, wspierając zbrojnie „powstańców” występujących przeciwko władzy „prezydentów” Kadafiego i Assada. W Libii lotnictwo amerykańskie, wraz z lotnictwem brytyjskim i francuskim bombardowały cele „reżimowe”, a na ziemi operowały oddziały specjalne wspierające libijską „opozycję”, gdy w Syrii CIA zapewniała dostawy uzbrojenia i szkoliła siły buntowników należących do tzw. „umiarkowanej” opozycji syryjskiej (ang. Free Syrian Army). Do roku 2012 sytuacja wyglądała na w miarę opanowaną, jednak na drugą kadencję prezydenta Obamy przypada dramatyczne wręcz odwrócenie sytuacji w tym regionie, prowadzące do katastrofalnych skutków. Najważniejszym czynnikiem było tu błyskawiczne odrodzenie siły Islamskiego Państwa w Iraku i Syrii / Islamskiego Państwa w Lewancie (ang. ISIS/ISIL). Organizacja ta wykorzystwała wojnę domową w Syrii, by tam odbudować swoją siłę i zasoby i móc powrócić do gry w Iraku. Obecne kierownictwo tej organizacji stanowi wyjątkowy amalgamat sił fundamentalistycznych fanatyków sunnickich działających w sojuszu z działaczami służb i sił specjalnych Saddama Husajna, dawnymi członkami „laickiej” Partii Baas. Do kontaktu tych dwóch sił doszło w amerykańskich więzieniach w Iraku, następnie przekazanych władzom irackim, które nie bardzo wiedząc co zrobić z osadzonymi wypuściły z nich na mocy amnestii bojowników należących do tego rodzącego się przedziwnego sojuszu. Z Syrii jego bojownicy powrócili triumfalnie do Iraku na początku 2014 roku, by w jego połowie ogłosić powstanie Kalifatu czyli Państwa Islamskiego, tym razem pozbawionego już określenia miejsca. Ten prosty „rebranding” okazał się być genialnym posunięciem marketingowym i przyciągnął do „odrodzonego Kalifatu” dziesiątki tysięcy nowych chętnych do walki imię Allaha z niemal całego świata, w tym także z Europy Zachodniej. Powstanie i ekspansja tego „nowotworu” państwowego zdestabilizowało niemal cały obszar Bliskiego Wschodu, skąd destabilizacja sięgnęła dalej, do Afryki, Azji Środkowej i w końcu do Europy Zachodniej, zwiększając tam radykalnie skalę

przemocy politycznej w formie terroryzmu. W tym samym mniej więcej czasie doszło do ponownej destabilizacji Libii i ogłoszenia powstania tam lokalnej odnogi Kalifatu (wyznanie o „lojalności” wobec Abu Bakra Al Baghdadiego, przywódcy Państwa Islamskiego, zaczęli składać liderzy różnych grup insurekcyjnych o charakterze dżihadystycznym na kilku kontynentach). Rezultat funkcjonowania Państwa Islamskiego, które istnieje do dziś, to śmierć i cierpienie milionów mieszkańców wielu krajów i wielkie zniszczenia materialne, w tym także wielu starożytnych artefaktów. Straty te są bezpośrednią konsekwencją decyzji prezydenta Baracka Obamy o wycofaniu wszystkich amerykańskich wojsk z Iraku oraz o nieinterweniowaniu zbrojnym w Iraku, a później w Syrii oraz Libii, mimo wyznaczania przez Obamę kolejnych „czerwonych linii”, które miały wyzwolić amerykańską akcję wojskową. Destabilizacja obszaru MENA dała także w efekcie silny impuls uchodźczy, który wraz z nasiloną emigracją z Afryki i Azji Środkowej zdestabilizował politycznie takie kraje jak Niemcy czy Francja. Jest to również efekt nieudanej, nieprzemyślanej, pozbawionej jakiegokolwiek planowania i złożonej z licznych zaniechań „polityki” administracji Obamy wobec obszaru Więszego Bliskiego Wschodu.

Efektom tej polityki jest także pojawienie się znacznych rosyjskich sił wojskowych w Syrii, walczących po stronie prezydenta Assada, oraz otwarta realizacja planów odbudowy „imperium otomańskiego” przez prezydenta Turcji, Recepta Erdogana. Zarówno Rosja, jak i Turcja dostrzegły słabość i niezdecydowanie prezydenta Obamy, determinujące zachowania amerykańskie w tym regionie i postanowiły to wykorzystać dla własnych celów. Rosjanom udało się ostatecznie znacząco wzmocnić swojego słabnącego przez lata klienta, prezydenta Assada, umacniając go w syryjskiej rozgrywce zbrojnej (co stało się nie bez sojuszu z Iranem) a prezydent Erdogan mógł wreszcie, nie licząc się z opinią USA, rozprawić się ze swoimi politycznymi rywalami w kraju (pod pozorem dławienia zbrojnego puczu i kontrakcji przeciwko puczystom) oraz przyłączyć się do dekompozycji sytuacji w Syrii i Iraku, pod

pozorem walki z Państwem Islamskim. Jego głównym celem jest niedopuszczenie do powstania państwa kurdyjskiego, które de facto zaistniało na terytorium Iraku i jego ekspansji na obszar należący do Turcji. Co ciekawe, mimo iż Turcja nadal formalnie pozostaje sojusznikiem USA w ramach NATO, w Syrii i Iraku działa w porozumieniu z Rosją. Spoistość Paktu Północnoatlantyckiego została w ten sposób poważnie naruszona.

Kryzysy na Bliskim Wschodzie w chwili obecnej zdają się sięgać swojego apogeum i zyskały już status „wojny wszystkich ze wszystkimi”. W konflikcie w Syrii, oprócz sił reżimu prezydenta Assada oraz niezliczonych oddziałów bojowników dżihadu i Kurdów, uczestniczą także otwarcie Stany Zjednoczone, Rosja i Turcja, a w sposób skryty także Iran, Arabia Saudyjska i państwa Zatoki Perskiej. Nastąpiła więc „bałkanizacja” Bliskiego Wschodu. Co jeszcze bardziej niebezpieczne, wojna domowa w Syrii stała się w tej chwili tzw. „wojną zastępczą” między Rosją a USA, ale ten status może ulec zmianie i przekształcić się w bezpośrednie starcia obu tych sił, ze względu na niewielki obszar i gęstą obecność sił zbrojnych obu tych krajów. Do starć takich może nawet dojść „przypadkiem” i mogą one rozwinąć się w niekontrolowaną przez nikogo konfrontację. Zasadne wydaje się więc stwierdzenie, że choć termin „kryzys na Bliskim Wschodzie” może trafnie opisywać sytuację w tym regionie na przestrzeni co najmniej ostatnich stu lat, to jednak jak nigdy dotąd sytuacja może tam wymknąć się spod jakiegokolwiek kontroli. Jest to spuścizna polityki prezydenta Obamy, a raczej jej braku. W bliskowschodniej rozgrywce sojusz prezydentów Putina, Erdogana i Assada, wspierany przez gen. Kasima Sulejmaniego, bez większego wysiłku ograł administrację Obamy. Niezależnie od tego, kto będzie jego następcą, czy Hilary Clinton czy też Donald Trump, przyszły/a prezydent USA „odziedziczy” sytuację dużo bardziej skomplikowaną i trudną do rozwikłania, niż było to w czasach, gdy to Obama przejmował ster rządów po prezydencie Bushu.

W niniejszym komentarzu nie wspominam o „normalizacji” stosunków USA (i szerzej całego Zachodu) z Iranem oraz zniesieniu części sankcji gospodarczych wobec tego kraju, co jest efektem planowych działań prezydenta Obamy. Choć w tej chwili wydaje się to być względnym sukcesem, to jednak jest zbyt wcześnie, by można było to jednoznacznie i ostatecznie ocenić. Jeśli w ten sposób rzeczywiście ograniczy się skalę atomowych ambicji Iranu, a kraj ten wejdzie w obieg zwykłych relacji gospodarczych, będzie to z pewnością wielką zasługą odchodzącego prezydenta USA. Trzeba jednak jeszcze chwilę poczekać, by móc to stwierdzić na pewno.